

Uśmiech Kamali Harris

29 listopada 2020

Liberalne media w ekstazie niczym święta Teresa Berniniego. Może amerykański prezydent-elekt Joe Biden jest starym białym zgredem, od zawsze w establishmencie, ale za to jego wicezostanie pierwsza w amerykańskiej historii kobieta na tak wysokim stanowisku, do tego, za jednym zamachem: pierwsza czarna kobieta i pierwsza kobieta indyjskiego pochodzenia. Ojciec z Jamajki, matka z Tamilnadu, urodzona w 1964 (a więc młoda jak na najwyższe eszelony amerykańskiej władzy państwowej). Polityczno-tożsamościowe bingo.



Była jedną z tych, którzy – obok Berniego Sandersa, Elizabeth Warren, Pete’a Buttigiega, Michaela Bloomberg’a i Tulsi Gabbard – na początku tego cyklu kampanii wystartowali, by ubiegać się o nominację Partii Demokratycznej do wyborów prezydenckich. Jako pierwsza z nich wszystkich odpadła, albo raczej sama zrezygnowała. Oficjalnie ogłosiła, że powodem była niezdolność zgromadzenia wystarczających środków na skuteczną kontynuację kampanii.

A teraz niewykluczone wcale, że jeszcze zostanie mimo wszystko pierwszą prezydentką Stanów Zjednoczonych. Trudno bowiem mocno wierzyć, że prezydent Joe Biden dociągnie do końca kadencji. Nawet jeśli go dożyje, może zniedołężnieć tak bardzo, że nawet sterydy nie pomogą tego ukrywać i trzeba będzie oficjalnie odsunąć go od władzy – amerykański system polityczny przewiduje wtedy przekazanie tego stanowiska wiceprezydentowi, w tym wypadku wiceprezydentce. A jak nie, to Harris może przejąć realną władzę de facto, za kulisami, podczas gdy oficjalnie odgrywana będzie komedia prezydentury Bidena – pogrążającego się w już widocznej demencji, wyciąganego z szafy tylko na potrzeby kontrolowanych ekspozycji do kamer telewizyjnych.

Neoliberalna polityka tożsamości

Po wyjątkowo długich deliberacjach – Biden przestrzelił po drodze kilka deadline'ów, które sam sobie wcześniej postawił – kto ma zostać jego „running mate”, wierzuszka Partii Demokratycznej postawiła na nią, żeby przy pomocy jej wizerunku i cech tożsamościowych nadrobić jakoś bolesne PR-owe braki byłego wiceprezydenta w administracji Obamy. Faktem, że jest kobietą, mieli nadzieję zagłuszyć ciągnące się za siwym starcem oskarżenia o gwałt i molestowanie. Jej „wielorasowe” korzenie – uczynić jego kandydaturę atrakcyjną dla rasowych mniejszości i wszystkich tych, którzy zmęczeni są już faktem, że najwyższym urzędnikiem ich republiki, z jednym wyjątkiem przez dwieście kilkadziesiąt lat, zostają biali mężczyźni. No i zagadać jego więcej niż wątpliwy dorobek na rasowej płaszczyźnie amerykańskich stosunków społecznych.

Jest to zarazem typowa sztuczka propagandowa neoliberalizmu: podczas gdy większość społeczeństw doświadcza w najlepszym razie poczucia gęstniejącej niepewności, częściej jednak intensyfikacji przemocy – ekonomicznej, policyjnej, militarnej, neokolonialnej – neoliberalowie selekcjonują garść rodzynek z grup tradycyjnie marginalizowanych lub nawet prześladowanych, którym łaskawie pozwalają dojść na szczyty władzy państwowej lub korporacyjnej, ewentualnie zrobić karierę w mediach. Te wyjątki służą później przesłanianiu realiów, w których żyje miazdząca większość z nas, w tym grup, które te rodziniki jakoby reprezentują. Realne, emancypacyjne pragnienia zostają przechwycone, przepakowane i przeciągnięte na złą stronę historii – a więc oszukane. Oni sami – te wyjątki na świeczniku – służą później moralnemu szantażowi, gdybyśmy kiedyś zapragnęli wygłosić zdanie krytyczne lub votum separatum. Jesteś wówczas z automatu albo bigotem, albo zaprzańcem, wszystko jedno, jakich używasz argumentów, z jakich się wypowiadasz pozycji.

Neoliberalizm po raz pierwszy wpadł na ten pomysł na sabotaż

racjonalnej, materialistycznej argumentacji politycznej bardzo wcześnie, bo już w swoim okresie „heroicznym”. Gdy dopiero podbijał świat, wystawił jako jedną ze swoich pierwszych twarzy u władzy kobietę, Margaret Thatcher. Pod przykrywką powierzchownie feministycznego „symbolu”, przeprowadzona została ofensywa na prawa społeczne klasy robotniczej, która w nikogo nie uderzyła mocniej, niż w kobiety z tej klasy, w największym stopniu skazane na źle płatną i niestabilną pracę, z drugiej strony obciążone pracą opiekuńczą nad członkami rodziny, gdy państwo z tych zadań zaczęło się rakiem wycofywać.

Arcydziełem tej strategii była prezydentura Baracka Obamy. Pierwszy Czarny na tym stanowisku – ale przecież nie pierwszy z brzegu: nie dość, że elokwentny, wykształcony i odcytany, to jeszcze najpiękniejszy mężczyzna ze wszystkich czterdziestu kilku na tym stanowisku. Przez osiem lat jego rządów, nie wydarzyło się w USA nic, co by realnie poprawiło położenie Czarnych w tym brutalnym rasistowskim reżimie. Nie tylko nie doczekano się czegoś tak w sumie podstawowego, jak wprowadzenie do debaty politycznej projektów reparacji za niewolnictwo – nie doczekano się nawet zahamowania epidemii policyjnej przemocy wobec Czarnych, która, jak już coś, raczej wtedy przyspieszyła. Ruch Black Lives Matter nie bez powodu wystartował nie za czasów Donalda Trumpa, a już za czasów Obamy.

Z jednej strony Obama i jego otoczenie bali się, że priorytet przyznany sprawom rasowym podminuje „ogólnonarodową” legitymizację całej administracji Obamy, z drugiej samo istnienie nienawiści wobec prezydenta motywowanej wyłącznie jego kolorem skóry i rasową tożsamością wystarczało, żeby każdego, kto się nim nie zachwyca, ustawiać w jednym rzędzie z rasistami – nawet Czarnych, którzy zwracali uwagę, że ich materialne położenie czy bezpieczeństwo na ulicach własnych miast nie przestają się pogarszać (i nie kłamali). W takich warunkach neoliberalna maszyna akumulacji kapitału i

pustoszenia wszystkiego, co wspólne, mogła się posuwać nie niepokojona przez nikogo.

Dla elit Partii Demokratycznej Kamala Harris to nadzieja na Obamę 2.0, na to, że koniunkcja tych wszystkich elementów znowu złoży się w tak skuteczną, sprawną maszynę.

Tożsamość Kamali Harris

Za czym właściwie opowiada się piękna senatorka z Kalifornii (w Senacie od 2017)? Czego chce i jaki jest jej dotychczasowy dorobek, który pozwalałby ocenić wiarygodność jej deklaracji na przyszłość? To są pytania, które naprawdę należy zadawać w świecie po Obamie, z którego szerokich, fotogenicznych uśmiechów niewiele wynikło dla ludzi podobnych mu kolorem skóry, czy to w USA, czy np. w bombardowanej z dronów Somalii. A jeżeli wynikło, to tylko pogorszenie ich realnej, materialnej sytuacji i kilka dobrych seriali na Netfliksie.

Kamala Harris lubi mówić o „lived experience”. „Przeżyte doświadczenie” to tłumaczenie dosłowne, choć niewyczerpujące jego znaczeń i kontekstów w amerykańskim angielskim. Fraza pochodzi z dyskursów mniejszości – rasowych, etnicznych i innych. Jej pomyślanym zadaniem było przeciwstawić się dominującym dyskursom większości, które zawsze sobie coś wyobrażają na temat tych, których spychają na margines. „Wy sobie o nas wyobrażacie różne rzeczy, a my tak oto przeżywamy nasze doświadczenie”. Ale w sposobie, w jaki Harris tej frazy używa, nie ma nic uczciwego, jest za to wiele z cynicznego przechwytywania języka grup marginalizowanych przez dyskurs klas dominujących, stworzenia fałszywego wrażenie wspólnoty życiowego doświadczenia z uciskanymi, kórch usiłuje do siebie przekonać.

Jakie jest Kamali Harris własne „lived experience”? Jej tamilska matka przyjechała z Indii nie do pracy w hotelu czy winnicach, a prosto na Uniwersytet Kalifornijski w Berkeley; jej jamajski ojciec to również akademik, na Uniwersytecie

Stanforda. Jedna uczelnia bardziej prestiżowa od drugiej, w czasach, kiedy była to gwarancja kariery i powodzenia. Z dobrze sytuowanymi rodzicami kilka kluczowych lat dorastania spędziła w Kanadzie, w porównaniu z USA kraju dla Czarnych sielankowym. Wyszła za prawnika-milionera Douga Emhoffa. Podczas gdy Bernie Sanders zwracał się do mas i masy finansowały jego kampanię, zrzucając się na nią, „co kto może”, Harris wydzwaniała po wsparcie do znajomych milionerów.

To wszystko niedokładnie to samo, co spędzać całe życie w strachu, że przypadkowy policjant może cię bezkarnie odstrzelić, bo idziesz wzdłuż drogi w kapturze na głowie. Nie tylko to nie to samo, ale Kamala Harris w swojej dotychczasowej karierze, jako prokurator okręgowa miasta San Francisco (2004-2010), a następnie generalna stanu Kalifornia (2011-2016), stawała raczej po stronie takiego policjanta. Albo może inaczej: była jednym z tych glin.

Miliony do więzień

Amerykańskie więzienia zamieszkuje dzisiaj więcej ludzi niż było kiedykolwiek równocześnie w sowieckim Gułagu. Więcej niż w jednym punkcie w czasie było kiedykolwiek w Stanach Zjednoczonych niewolników. Więcej niż wszystkich ludzi w więzieniach Chin i Indii razem wziętych (mają łącznie ponad 2,7 miliarda ludności). Mówiąc krótko: współczesne Stany Zjednoczone, samozwańcza „ojczyzna wolności”, są społeczeństwem o najbardziej represyjnym systemie karnym, najbardziej „więziennym” społeczeństwem w nowoczesnej historii ludzkości.

Miażdżąca, miażdżąca większość wszystkich, którzy przewinęli się przez amerykańskie więzienia przez ostatnich czterdzieści lat o ofiary „wojny z narkotykami”. Według badaczki Michelle Alexander – było to już grubo ponad trzydzieści milionów ludzi, co dziesiąty Amerykanin. Są wśród nich ludzie zamieszani w przemoc gangów, ale i tacy, przy których

znaleziono kilka gramów „substancji”, i to cała lista ich zbrodni. Od czasów Clintona, któremu Biden pisał „zwalczające przestępczość” ustawy, szczególnie surowo karana jest każda forma recydywy, nawet drobne, niezwiązane z przemocą, przestępstwa.

„Wojnę z narkotykami” rozpoczęła administracja Richarda Nixona. W wywiadzie udzielonym już w 1994, który się wtedy jednak nie ukazał, a światło dzienne ujrzał dopiero w raporcie „Harper’s Magazine” w 2016, doradca Nixona, John Ehrlichman przyznał otwarcie, że wymyślono ją po to, żeby powsadzać Czarnych i hipisów do więzień, bo za bardzo protestowali przeciwko rasowej dyskryminacji (pierwsi) i wojnie w Wietnamie (drudzy). Ten drugi cel z czasem się zdezaktualizował, za to pierwszy na aktualności tylko zyskiwał. Kiedy Clinton domykał procesy neoliberalnej destabilizacji amerykańskiej gospodarki, za sprawą którego masowej pauperyzacji ulegały w szczególności społeczności Czarnych i Latynosów, sprzężone procesy wypychania ich do gospodarki nieformalnej (związanej coraz bardziej z gangami narkotykowymi) i wsadzania ich potem za to do więzień, napędzały się tylko coraz bardziej. Kiedy Clinton ustępował z urzędu, do więzień w ramach „wojny z narkotykami” trafiało już około pół miliona ludzi rocznie, a ogół więźniów wzrósł co najmniej sześciokrotnie.

To jest kontekst, w którym należy oceniać co najmniej bulwersujący dorobek Kamali Harris w jej karierze prokuratorskiej w San Francisco, a następnie w prokuraturze stanowej najludniejszego amerykańskiego stanu. Nie jest tak, że Harris jako prawniczka ma wyłącznie negatywny dorobek – nie można jej odmówić serii pozwów przeciwko nieuczciwym korporacjom, by jednocześnie postawić tamę śledztwu w sprawie seksualnych nadużyć w Kościele katolickim. Ale, jak na łamach amerykańskiego „Jacobina” pisał Branko Marcetic (swoją drogą, także autor książki o Bidenie), każde swoje postępowe posunięcie równoważyła natychmiast innym, wyjątkowo reakcyjnym. Charakterystyczne w tym wszystkim jest to, do

jakiego stopnia ów reakcyjny dorobek Harris wiąże się z tymi domenami, w których amerykański wymiar „sprawiedliwości” najwyraźniej manifestuje się jako zestaw instrumentów do represji rasowych.

Inny kraj

W kraju, w którym do więzień już trafia za dużo ludzi, dużo za dużo; w kraju, w którym wsadza się de facto za kolor skóry; w kraju, w którym policja jest tresowana do zatrzymywania ludzi o ciemniejszym kolorze skóry i traktowania ich jako przestępców z założenia, chyba że udowodnią swoją niewinność – w takim kraju prokurator Kamala Harris postawiła sobie za cel zwiększyć jeszcze na swojej warcie proporcję wyroków skazujących wieńczących wszystkie wszczęte postępowania. Jako cel sam w sobie, za wszelką cenę. I zwiększyć jej się udało, o około połowę. Żeby to osiągnąć, walczyła o wyroki skazujące nawet w przypadkach, kiedy przedstawiano jej materiał dowodowy stawiający poważne wątpliwości co do winy oskarżonego. Podniesienie „współczynnika skazań”, wyrabianie statystycznych „targetów” – było ważniejsze niż dotarcie do materialnej prawdy o konkretnych wydarzeniach, nie mówiąc o resocjalizowaniu kogokolwiek. Jej urząd skazywał na więzienie nawet samotne matki za to, że ich dzieci uciekały ze szkoły – samotne Czarne matki.

W kraju, którym ludzie trafiają do więzienia za byle co i za kolor skóry – Harris blokowała wypłaty odszkodowań zasądzonych tym, którym udało się w końcu udowodnić, że skazano ich bezpodstawnie.

Kiedy wspomniałem, że Harris stawiała raczej po stronie policjantów, którzy strzelają do Czarnych, nie była to nawet metafora czy retoryczna hiperbola. W kraju, który drąży epidemia bezkarnej policyjnej przemocy wobec Czarnych, w tej jednej kategorii zbrodni Kamali Harris nie zależało, by „skazywalność” sprawców rosła – rasistowskich zbrodni

popęłnianych przez funkcjonariuszy policji. Harris aktywnie zwalczała próby pociągania policjantów do odpowiedzialności.

Harris walczyła też jak lwica o utrzymanie systemu, w którym więźniowie są masowo udostępniani jako niemal darmowa siła robocza (opłacani na poziomie dolara za godzinę), co czyni z więzień wehikuł faktycznie utrzymujący wciąż w Stanach Zjednoczonych niewolnictwo, innymi metodami. To więźniowie ryzykowali na przykład za taką stawkę życiem, gasząc niedawno pożary kalifornijskich lasów.

W kraju, w którym wydatki na policję i więzienia rosną razem z wojskowymi, podczas gdy publiczne szkoły balansują na granicy upadku, w szczególności w biednych i „kolorowych” dzielnicach niezdolne dać dzieciom edukacji, która pozwalałaby na jakąkolwiek przyszłość inną niż w gangu narkotykowym – w takim kraju, na spotkaniu ze sponsorami swojej kampanii Harris naśmiewała się otwarcie z tych wszystkich postępowych postulatów, żądających szkół zamiast więzień.

Kiedy Biden w końcu wybrał ją na swoją kandydatkę na wiceprezydenta, niektórzy lewicowi amerykańscy komentatorzy odpowiadali: nic dziwnego, w pewnym sensie Biden i Harris są jednym i tym samym politykiem w dwóch osobach. Biden pisał prawo, a Harris dbała o wypełnianie jego ducha i litery na powierzonym jej odcinku w terenie.

Chytrość neoliberalnego rozumu każe teraz tym wszystkim, którzy byli na Bidena i jej celowniku, cieszyć się, o wszystkim tym zapomnieć i zachwycać, bo przecież ma podobny do nich kolor skóry, choć całym swoim prokuratorskim dorobkiem kolaborowała z ich oprawcami. Chytrość neoliberalnego rozumu sprzedaje im to teraz jako dowód na ich własną emancypację i życiowe szanse w ramach status quo, jeśli tylko „postarają się” tak bardzo jak ona.

Autorstwo: Jarosław Pietrzak

Źródło: Strajk.eu